

## Do Stanisława Ignacego Witkiewicza

62

Szanowny, Drogi Panie!

Wysłałem jeszcze w Wielki Czwartek na adres Pański list, manuskrypt, 14 grafik i nie mam dotychczas potwierdzenia odbioru. Jestem zaniepokojony i zmartwiony. Obawiam się, czy nie zraziłem Pana pewnym tonem fantastycznej bufonady, w który wpadłem w ostatnim liście, sprowokowany podobnym zabarwieniem Pańskich listów. Ale może Pan ton ten uważa za swój przywilej, którego Pan innym nie przyznaje. Byłbym niepokieszony, gdyby Pan był urażony z tego powodu.

Moja fantazja, forma, czy mina pisarska ma skłonność, podobnie jak i Pańska, do aberracji w kierunku persyflażu, bufonady, autoironii. Gdzież mogłem liczyć na zrozumienie, jeśli nie właśnie u Pana.

Nie, chyba się Pan o to nie pogniewał!

Bardzo proszę Pana o uspokojenie mego sumienia wiadomością, że się Pan na mnie nie gniewa, że nic się w stosunku naszym nie zmieniło. Byłem tydzień w Warszawie<sup>1</sup>. Postanowiłem starać się o urlop roczny<sup>2</sup> i spędzić go po połowie w Warszawie i w Zakopanem. Odebrałem u Hoesicka i w Domu Książki Polskiej Pańskie dzieła i cieszę się nimi nad wyraz.

Łączę wyrazy szacunku i najserdeczniejsze pozdrowienia

*Bruno Schulz*

Drohobycz, 12 IV 1934

63

Początki mego rysowania gubią się w mgłę mitologicznej<sup>3</sup>. Jeszcze nie umiałem mówić, gdy pokrywałem już wszystkie papiery i brzegi gazet

gryzmołami, które wzbudzały uwagę otoczenia. Były to z początku same powozy z końmi. Proceder jazdy powozem wydawał mi się pełen wagi i utajonej symboliki. Około szóstego, siódmego roku życia powracał w moich rysunkach wciąż na nowo obraz dorożki z nastawioną budą, płonącymi latarniami, wyjeżdżającej z nocnego lasu. Obraz ten należy do żelaznego kapitału mojej fantazji, jest on jakimś punktem węzłowym wielu uchodzących w głąb szeregów. Do dziś dnia nie wyczerpałem jego metafizycznej zawartości. Widok konia dorożkarskiego nie stracił po dziś dzień dla mnie na fascynacji i wzbudzającej mocy. Schizoidalna jego anatomia pełna na wszystkich końcach rogów, węzłów, sęków i sterczyn została jak gdyby wstrzymana w rozwoju w chwili, gdy chciała się jeszcze dalej rozrósć i rozgałęzić. A i powóz jest wytworem schizoidalnym, wynikłym z tej samej zasady anatomicznej – wielocłonkowy, fantastyczny, zrobiony z blach powyginanych jak płetwy, ze skóry końskiej i ogromnych kół-klekotek.

Nie wiem, skąd w dzieciństwie dochodzimy do pewnych obrazów o rozstrzygającym dla nas znaczeniu. Grają one rolę tych nitki w roztworze, dokoła których krystalizuje się dla nas sens świata. Do tych obrazów należy jeszcze u mnie obraz dziecka niesionego przez ojca przez przestrzenie ogromnej nocy, rozmawiającego z ciemnością. Ojciec tuli je, zamyka w ramionach, odgradza od żywiołu, który mówi i mówi, ale dla dziecka ramiona te są przeźrocyste, noc dosięga je w nich i poprzez pieszczoty ojca słyszy ono nieustannie jej straszliwe perswazje. I znękanie, pełne fatalizmu, odpowiada na indagacje nocy, z tragiczną gotowością, całkiem zaprzędane wielkiemu żywiołowi, od którego nie ma ucieczki.

Są treści niejako dla nas przeznaczone, przygotowane, czekające na nas na samym wstępie życia. Tak recypowałem balladę Goethego<sup>4</sup> w wieku ośmiu lat z jej całą metafizyką. Poprzez na wpół zrozumiałą niemczyzną pochwyciłem, przeczulem sens i wstrząśnięty do głębi płakałem, gdy mi ją matka czytała.

Takie obrazy stanowią program, statuują żelazny kapitał ducha, dany nam bardzo wcześnie w formie przeczuc i na wpół świadomych doznań.